

**MORAWSKA
ZUZANNA**

WILCZE
GNIAZDO

Morawska Zuzanna

Wilcze gniazdo

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23545306

Wilcze gniazdo:

Аннотация

Wzruszająca, choć i straszna powieść z XIV-wieczną polityką w tle. Wilczym gniazdem nazywali ponoć krzyżacy mieszkańcy Malborka szkółkę, w której trenowali wziętych do niewoli chłopców polskich i litewskich. Za plecami nieudolnego, gnuśnego wielkiego mistrza rozgrywają się intrygi, ambitni dostojnicy chcą chytrze skłócić i pokonać sąsiednie państwa: Polskę i Litwę, a młodzi jeńcy mają być częścią tego podstępного planu. Dzielny Siewros, który w niewoli zapomniał ojczystego języka, wraz z przyjacielem Jaśkiem, uciekają z lochu i po wielu strasznych przygodach, prosto z pola bitwy, ledwie uniknąwszy ofiarnego stosu, trafiają na pogański dwór Gedymina, pełen oswojonych niedźwiedzi i dzielnych wojowników. Piękna Bogna, laska branka usługująca książęcej córce, wydaje się podobna do kogoś znanego...

Содержание

I	6
II	17
III	24
IV	31
Конец ознакомительного фрагмента.	39

Zuzanna Morawska

Wilcze gniazdo

Wilcze gniazdo – tekst nieuwspółcześniony, z dawną, nieujednoliconą pisownią i nieznormalizowaną interpunkcją. Nieodpowiedni do samodzielnego czytania dla młodszych dzieci, uczących się współczesnej polskiej ortografii. [przypis edytorski]

Wilcze gniazdo, powieść z czasów krzyżackich – wydanie źródłowe z 1889 r. zawiera 5 rycin St. Witkiewicza. [przypis edytorski]

Wilcze gniazdo, powieść z czasów krzyżackich dla młodzieży dorastającej – tekst zawiera drastyczne opisy, m.in. samobójstw, dlatego o dojrzałości młodszych dzieci do takiej lektury powinni zdecydować opiekunowie. [przypis edytorski]

Dawno to już, dawno, przy zwiedzaniu malborskiego zamku, wskazano nam stojący w obrębie jego murów budynek, nazywając go Wolfshöhle lub szkołą, w której niegdyś kształcono młodzież, zostającą pod opieką krzyżackiego zakonu. W lochach zaś zamczyska pokazywano otwory kanałów, prowadzących aż do odnogi Wisły. „**Tędy to nieraz uchodzili ludzie, przynosząc nie jedną biedę krzyżakom,**” – dodał oprowadzający.

Opowiadanie to nie schodziło nam z myśli, – w zamczysku, zamiast rzeczywistości, przesuwwały nam się tylko zamierzchłe

postacie. Zestawiwszy opowiadanie z wypadkami, zapisanemi na kartach historyi, powołujemy owe postacie do życia, przedstawiając je młodym czytelnikom.

Z. M.

I

Pomiędzy dwiema ścianami gęstego litewskiego lasu, stało wielkie ludzkie schronisko. Ba, i to nie byle schronisko, lecz jakoby zamek obronny. Na wysokim wzgórzu, na wzniesieniu grubych kłód, i nieociosanych bierwion modrzewiowych, stał dworzec długi, z jednej strony dziwnie jakoś od dachu spuszcający się ku ziemi, – tak jak oto czasami drzewo, które wyrosłszy z korzenia, nie od razu strzela ku górze pniem prostym, lecz nie mogąc oderwać się od łona swej karmicielki, wyrasta pochyło, czepia się jej jeszcze odroślami, wreszcie wzmocnione, prostuje pień i rozszerzając gałęzie, roztacza z nich osłonę szeroką, lecz przysadkowatą.

Z takich to drzew wziął i człowiek wzór wnosząc dla siebie mieszkanie.

I zamczysko na wzgórzu nie inaczej było sklecone. Wyrastało od jednej strony pochyło, aż od drugiej wzniosło się wysoko, i jak drzewo gałęziami, tak zamczysko szeroko rozpiętym dachem osłaniało swoich mieszkańców. Ściany tego schroniska były z wierzchu tak gęsto chrustem obłożone od stóp, aż do okapu tak utkane mchem, gliną i tak razem zbite i złączone, iż próżnobyś szukał, co tam jest pod tą grubą warstwą, – drzewo czy kamienie.

Wśród tej warstwy zwierzchniej, widać było tylko czworokątne niewielkie okienka, w które wiosenne promyki słońka gwałtem się wciskały, jakby ciekawe, co tam we wnętrzu

się dzieje. Lecz żółto-białe pęcherze, któremi przestłonięto okna, walczyły z promykiem słońka, wydając tylko od czasu do czasu mrukliwy trzask, to jest, gdy wysuszone zwierzchnie żyłki pęcherza, kurcząc się pękały. Lecz jeden otwór nie zasłonięty był pęcherzem, a od wnętrza odsunięta drewniana zapora łatwo przepuszczała ciekawe słońko, które wnिकnąwszy do głębi, zawstydzało swoją świeżością czerwono-żółte światło ognia, rozchodzące się na całą izbę od palącej się kłody drzewa, na trzonie ułożonym z płaskich kamieni.

Dym, wychodzący z pod szerokiego okapu nad trzonem, znajdował obszerne ujście otworem w dachu. Ten wielki trzon, buchający ogniem i światłem, był przyjacielem całej rodziny. Obecnie jednak odwracano oczy od ognia, wyglądając rychło słońko wszystkich ze schroniska wywabi. A słońko wyjrzawszy z za mgły gęstej, przedarłszy jej sino-białą oponę, rzuciło cały snop promieni. Promienie te były jasne, wesołe i uśmiechnięte, jak to zwykle na wiosnę. Igrały więc i ze śniegiem i z wodą, błyszcząc w niej miliardem światła, aż zawisły złotymi smugami na skraju czarnego lasu, który wierzchołkiem wyniosłych sosen strzelał ku górze.

I woniało w powietrzu od rozgrzanych iglic świerkowych a sosnowych, woniało świeżością ziemi wypuszczonej z pęt zimowych, a też i wodą szumiącą, której dostarczały coraz więcej śniegi rozpływające się pod wejrzeniem wiosnianego słońka. Niekiedy zaświergotało ptasze, wzniosło się ku górze i przysiadło na świeżej roli... Tam znów robaczek wywabiony

ciepłym podmuchem, wypętał z ziemi i znów skrył się w czarne jej łono, nie mając jeszcze dosyć odwagi, aby stawić czoło niebezpieczeństwu, które nań czyhało w postaci maleńkiego skowronka. Z lasu dochodziły również odgłosy, to łamanie się i trzask gałęzi, to ryk dzikiego zwierza, który przeczuwając powrót wiosny, wychodził ze swoich kryjówek, aby szukać jasnych ożywczych promieni. W ludziach, jak i w całej przyrodzie, rozbudziło się życie, ostrą zimą uśpione; dzieci chwyciły wdzierające się przez okna promienie, dziwiąc się, że mimo mozolnych usiłowań, nie mogą ich w rękach utrzymać.

Stary zaś Tubingas, pan zamku, nieopuszczając przez całą zimę łoża okrytego niedźwiedzią skórą i wpatrzony ciągle w wielkie ognisko swej komnaty, odwracał teraz coraz częściej głowę w stronę największego, nie zawartego ni zaporą, ni pęczermem okna, aż wreszcie dnia jednego klasnął w potężne dłonie. Z sąsiedniej izby wychyliła się młoda niewiasta, pytając:

– *Ko notet, Tew's Kunige?*¹.

Starzec ręką wskazał na wdzierające się słońce rzeki:

– *Saule Szilditis*².

Kobieta roześmiała się radośnie, pokazując białe zęby i żywo wybiegła napowrót, a w zamczysku zapanował ruch niezwykły. Dziecięce głosy powtarzały szczebiotem: „*Saule szilditis!*”; powtarzały też same wyrazy usta niewieście, a gdy z powagą wymówiły te wyrazy usta dojrzałych mężów, cała

¹ *Ko notet, Tew's Kunige* – Czego chcecie, ojcie-kapłanie. [przypis autorski]

² *Saule Szilditis* – Słonko grzeje. [przypis autorski]

drużyna skupiła się około Tubingasa. Wtedy wszyscy wyszli przez niskie drzwi schroniska, a spuszczać się przez most ułożony z chrustu i kamieni, ciągnęli do ciemnego nieopodal stojącego lasu.

Tubingas był niegdyś jednym z najmężniejszych Litwinów. Nieraz Lachom, ba i Krzyżakom dał się we znaki, lecz już od lat wielu mógł tylko jako Kunigas przewodniczyć ludowi, prowadząc go na doroczne obrzędy. Prowadził go więc i teraz na powitanie wiosennego słońca.

Z siwą sięgającą aż do pasa brodą, oczy mając otwarte, lecz tak dziwnie nieruchome, iż od razu poznać mogłeś, że one ni owego jasnego słońka, ni ziemi pod stopami, ni czerniejącego lasu nie widzą. A jednak starzec szedł prosto i krzepko, podpierając się grubym sękatym kijem, czasem tylko wyciągnął lewą dłoń przed siebie, nie wiedzieć, czy aby poszukać nią miejsca, czy też by usunąć zawadę, gdyby się jaka na jego drodze znalazła. Obok niego szedł z jednej strony młody silny mężczyzna. Był to wnuk jego, Chroniwos. Mimo wczesnej pory nogi miał obnażone, a tylko stopy obute w łapcie z kory przywiązanej rzemieniem, za to skóra, futrem do ciała obrócona, ściągnięta w pasie rzemieniem, okrywała go od ramion aż po kolana, za pasem zaś sterczał zatknięty topór. Ramiona również jak i nogi były wolne od odzieży, a silne i zylaste dłonie same już zdawały się być obroną. Po drugiej stronie starca szła znana nam już niewiasta, Dowrusa, żona Chroniwosa. Odzież jej niczem nie różniła się od ubioru męża, ino głowę miała owiązaną białą chustą, której długie końce

spadały na plecy czerwono-żółtej skóry kozucha, a drugą taką chustę przewieszoną miała przez ramię. Tuż obok niej biegło kilkuletnie chłopię, Siewrosem zwane, na którego głowie matka od czasu do czasu z widoczną miłością kładła dłoń swoją. Po za nimi szło jeszcze kilka dziewczek Chroniwosa, szła liczna czeladź męzka i żeńska, a z chat, co stały rozrzucone u stóp wielkiego schroniska, również wychodzili mężowie, niewiasty i dzieci, by wspólnie z wojem-kapłanem oddać cześć wiośnie.

Szli więc wgłąb lasu na niewielką wyciętą polanę, gdzie pośrodku stał dąb wyniosły. A dąb to był dziwny. Niski, gruby od korzenia, wyrastał na kilkanaście silnych i krzepkich gałęzi, szeroko a rozłożyste, które wznosząc się ku górze, skupiały się razem i tworząc jakby w wieniec ubraną głowę na szerokich barkach olbrzyma. Korzenie tego olbrzyma powychodziły na wierzch daleko, a wokoło nich ręka ludzka, czy natura wyżłobiła wgłębienie, tak, że całe drzewo otoczone było obronnym rowem, w który pobożne dłonie nawrzucały kamieni mniejszych i większych. Z jednej strony kamienie te ułożone w stos, coraz wyżej, stanowiły schody, po których można było wejść aż do gałęzi tworzących koronę. U stóp tych schodów, kilka kamieni, wgłębionych płasko w ziemię, służyło za trzon, na którym zwęglona i dogasająca kłoda drzewa świadczyła o składanej wiecznie płonącej objacie.

Tubingas, mimo zagasłych oczu, kroczył prosto do tej świątyni. Dziecięciem składał tutaj objaty, przez życie całe wiódł syny i wnuki, łatwo mu więc było trafić do tego miejsca.

– Dogasa ogień – rzekł stanąwszy przed dębem i wciągnąwszy w siebie powietrze, przepelnione żywicznym dymem. – Dogasa, lecz nie zgaśnie, bo światło z góry da mu iskrę świętą.

I to mówiąc, trzymanym w rękę kosturem odkrzesywał zwęglone cząstki drzewa, Chroniwos zaś rzucił pęk suchych korzeni i krótko połamanych gałęzi, które jeszcze w jesieni zatknął pod powałę, izby, wyschłe przez zimę, posłużyły do podsycenia wiosennego ognia. Wślad zaraz za mężem, rzuciła Dowrusa pęk zboża i ziół przeróżnych, również na ten cel przetrzymanych w chacie, po niej zaś Siewros, chłopczyna, rzucił garść zboża. Przystępowały potem dziewczęta i czeladź, a wszyscy przybyli dorzucając zeschłe zioła i korzenie, wołali:

– Cześć słońcu, cześć wiośnie!

– Cześć słońcu, cześć wiośnie! – powtarzano do koła. Powoli głosy te przeszły w jakiś śpiew tęskny, a ogień wznosił się, rozlewając szeroko. Dąb stary szumiał tam w górze rozłożystymi konary, jakby przywtarzał śpiewom smętnym zebranej drużyny. Drzewa chyliły wierzchołki, podając jedne drugim ów śpiew błagalny, który zlawszy się w jedną harmonijną całość, szumem rozniosły od polany do polany jedność objaty świętego ognia, Zniczem zwanego.

Lecz wtem, wśród szumu drzew i tęsknego śpiewu, dał się słyszeć łomot gałęzi i ciężki tętent koni, a nawet chrzęst i szczęk broni.

Nagle umilkły śpiewy, a natomiast wzniósł się okrzyk trwogi i przerażenia. Tubingas ścisnął pięść, aż zatrzeszczały członki

krzepkiej jego dłoni, i rzucił przekleństwo, a z nim razem polano w pałący się ogień, i nie odwracając zagasłych oczu od płomienia, stał nieruchomie. Lecz Chroniwos sięgnął za topór, będący za pasem, bo po tym odgłosie poznał odrazu nieproszonych gości, z którymi już nieraz chodził w zapasy.

Nie potrzebował też czekać długo, bo oto z gęstwiny, co otaczała polanę, ukazało się kilkunastu jezdnych na koniach, a nakreślony biały krzyż na ich lekkich zbrojach, łatwo dawał poznać, jacy to byli przybysze.

– Niewiasty do schronisk! – krzyknął ochryłym z przerażenia głosem Chroniwos, ujrzawszy wyłaniające się postacie. I począł szykować się z czeladzią do boju.

– Do schroniska z dziećmi! – powtórzył groźnie, spojrzawszy na Dowrusę, tulącą do kolan chłopię i na skupiające się około niej dziewczęta, gdy tymczasem reszta niewiast i dzieci z krzykiem w las uciekały. Dowrusa nie posłuchała jednak głosu męża, stała nieruchomie, jak gdyby widok przybywających zamienił ją w martwą postać pilnującą świętego ognia. Dopiero Chroniwos krzyknął:

– Siewrosa ocalić!

Dowrusa drgnęła, pochwyciła syna, owinęła przewieszoną przez ramię płachtą, i go do piersi, uciekać co tchu poczęła, a za nią trzymające się jej rańtucha dziewczęta.

Wielki też był czas potemu, bo przybysze otoczyli polanę dokoła, a krzyk dochodzący z lasu świadczył, że musiało ich tam być więcej w gęstwinie, czyhających na zdobycz, która im się

łatwym sposobem w uciekających nastęrczyła.

Przybyli nie myśleli jednak staczać walki, lecz rzucili się na bezbronną a jednak gotową do obrony gromadkę i jęli wiązać, nie żałując przytem razów.

Chroniwos, nie czekając napadu, bronił przysepu toporem, wyjętym z za pasa, a inni, choć zlekka uzbrojeni, dopomagali mu w walce.

Tubingas, nie odwracając się od dębu, szeptał ciche wyrazy, zaciskał pięści, i podsyczał ogień, jak gdyby walka wrząca wokoło, wcale go nie obchodziła. Aż wreszcie przypadł któryś z krzyżaków do niego i uchwycił za skórę kozucha, otaczającego obrosły kark starego kapłana. Tubingas szarpnął się i przypadł ku ziemi, a szarpnięcie musiało być nie lada, gdyż w rękę krzyżaka zostało kawał skóry, okrywającej krzepkie ciało starca.

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się napastnik, schylając się, by porwać swoją ofiarę, gdy tymczasem Tubingas, odwróciwszy się rzucił mu w twarz gorejącą kłodą drzewa, która rozsypując drobne węgle i odłamki gorejące, raniła bliżej stojących.

– *Teusend Teufel!* – wrzasnęli oślepieni ogniem i dymem.

Tubingas zaś brał gołemi rękami zarzewie i rzucał je do koła, a pociski były tak celne, iż każdy, co się usiłował przybliżyć, padał oślepiiony, lub uciekał, wrzeszcząc:

– *Teufel! Es ist selbst Teufel!*

I rzeczywiście można było przypisać jakąś nadprzyrodzoną siłę ślepemu starcowi, broniącemu się tym świętym ogniem, któremu cześć oddawał. Lecz spojrzawszy na dłonie jego

szerokie, grube, jakby mułem porośle, można było uwierzyć, że w dłonie te, jako w żelazne kleszcze, brać mógł żar bezkarnie.

I cofali się przed tą jego bronią krzyżacy, strachały się oślepienie konie, tratując zarówno upadłe ciała panów swoich, jak i broniących się Litwinów.

A był to mały oddziałek krzyżacki, który, często w kilkadziesiąt koni, na ochotnika przedzierał się przez litewskie lasy dla zdobyczy skór, a głównie niewolnika. Najznakomitszą jednak zdobyczą, były dla nich małe litewskie chłopięta; pojmanny je, hodowali, ucząc się od nich niektórych wyrazów litewskiej mowy, przyuczając swojej i zmuszając zarazem podczas napadów do wskazywania dróg, sobie nieznanym. Wychowane chłopię wśród wrogów, gdy ujrzało się na ziemi swojej, gdy owionął je szum lasów, lub doleciał dźwięk mowy, nie znając niebezpieczeństwa, na jakie narażało swoich, z wyciągniętymi rękami biegło do miejsc sobie drogich, wskazując bezwiednie drogę do kryjówek, im tylko znanych. To też i teraz przybyli, nie widząc dla siebie dostatecznej zdobyczy, wyparci żarem, rozbiegli się po za polanę. Kilku tylko zajadłych obstało Chroniwosa, który cięciem topora zadawał razy, nie dając do siebie przystępu.

Lecz naraz ujrzawszy opróżnioną polanę, jak lew rzucił się za goniącymi w stronę schronisk wrogami, a torując sobie drogę toporem, pędził na pomoc tym, którym, jak sądził, żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Wśród biegu zdało się, iż słyszy głosy niewieście i płacz jękliwy dziecięcia.

Wtem ciężki miecz spadł na jego ramię; ugiął się pod tem uderzeniem, jęknął, chciał biedz mimo to dalej, lecz zachwiał się i runął na ziemię, tuż na skraju polany. Krew trysnęła z przecięgo ramienia, tocząc czerwoną smugę na zieleniejącą pod wiosennym słońkiem ziemię...

Wkrótce tętent cichł powoli, zda się przybyli w dal pomknęli, ino tam od schronisk dochodziły jęki, roznosząc daleko wieść o napadzie na spokojne siedlisko Litwinów. A wśród jęków wiatr echem powtarzał rozpaczliwe wołanie niewieście:

– Siewros! Siewros!

Jakieś wycie nieludzkie, jakby zranionej wilczycy, której wilczęta zabrano, napełniło powietrze. A głos ten górował nad innemi, również nabrzmiałemi rozpaczą, mieszał się z tętentem koni, jękiem rannych i szumem lasu... Słońko tymczasem, rzuciwszy ostatnie promienie, skryło się za czarną chmurę. Tubingas pozostawszy na opróżnionej polanie, wstrząsł się na te odgłosy: dorzucił na ogień nową kłodę drzewa, kopnął nogą czepiającą się stopy jego jakąś dłoń chłodną, odwalił ciało okryte półbroiczką, i szedł za odgłosem tych jęków, co do uszu jego dolatywały. Tak idąc z kosturem i ręką wyciągniętą przed siebie, pośliznął się o krew niezakrzepłą i potknął o leżące ciało. Jęk cichy wyszedł z niezmarłej jeszcze piersi...

Tubingas pochylił się i przytknął usta do czoła leżącego.

– Chroniwos! on mój ostatni! – jęknął starzec i objął wnuka szerokimi ramiony.

– Żyje! żyje! lecz gdzie rana! – i zaczął jej szukać na ciele

wnuka.

A od strony schroniska pędziła postać niewieścia. Odzież na niej poszarpana, ramiona poranione, włosy rozwiane świadczyły, iż wyrwała się ze strasznej walki. Biegła z oczami w słup stojącymi, rękami rwała włosy, lub rzucając nimi przed siebie, z całych sił jękliwym głosem wołała:

– Siewros! Siewros!

Z tym jękiem Dowrusa padła tuż obok rannego męża i starego Tubiagasa.

II

Kilkunastu różnego wieku chłopców bawiło się w wielkiej izbie. Okna wązkie, umieszczone wysoko, wpuszczały nie wiele światła, nadając jej mimo panującego gwaru i śmiechu jakąś cechę ponurą. Drągi, drabiny, kozły wysokie nakształt koni, oraz okrągłe kule, które chłopcy podrzucali do góry, dostarczały zabawy. Szwargotali między sobą po niemiecku, lecz w żywszej jakiejś walce, wybuchu radości, gniewu, wyrwał się wyraz polski lub litewski, co od razu wskazywało pochodzenie całej tej drużyny.

– Hej, ty, Fryc, chcesz się ze mną spróbować, zawołał mały, krępy, przysadkowaty chłopak, podsuwając jeszcze wyżej i tak dość kuse rękawy wełnianego odzienia, i stając przed cienkim, długim towarzyszem, który żyłastemi rękami wdrapywał się na drąg wysoki.

– Słuchaj, Fryc! czyś ogłuchł, czyś się zrósł z tym drągiem! – wołał niecierpliwie krępy towarzysz.

– Daj mu pokój – ozwał się inny – on się tak wyciągnął, że ino skóra oblepiona, a uszy się w drąg schowały.

– Uderz go w piętę, to się skóra skurczy, a i uszy na wierzch wyleżą, – wołał inny.

A nie czekając, aż ktoś tego dokona, przybliżył się do wchodzącego na stojący w pośrodku drąg chłopaka. Wyrostek ów rzeczywiście tak przylgnął do owego drąga, i tak się wydłużył,

iż można było wziąć go zdala za jakąś kunsztownie wykonaną płaskorzeźbę. W chwili jednak gdy towarzysz przybliżył się do słupa, dał dowód, iż nie był przyklejony, bo wskoczył wprost na ramiona stojącego pod słupem chłopca, a przysiadłszy na nich, zeskoczył zwinnie na ziemię, wśród oklasków i śmiechu wszystkich towarzyszy. Potem wyciągnąwszy pięść do góry, zawołał:

– Słuchajcie, jak mnie który raz jeszcze nazwie Frycem, to mu kości pogruchocę.

– Ba, a jak cię nazwę inaczej, to nam wszystkim Hex skórę wyłoi! ozwał się przysadkowaty towarzysz, ten sam, po którego karku Fryc zsunął się na ziemię.

– No, a jak ci tam, jakoś... eh, djabeł zapewne, bo jak złe wszędzie się wdrapie i zewsząd zeskoczy, rzekł ten, który go najpierwszy do walki wyzywał.

– A wolę być djabełem, niż Frycem! zawołał chłopak butnie.

– A żebyś na drugi raz wiedział, że mnie **Siewros** zwano, masz dla pamięci.

I ująwszy za bary mówiącego rzucił go o ziemię.

A inni krzyczeli radośnie:

– Chwat Siewros!

– Ritter, Siewros!

– Djabeł, Siewros!

– Zuch, Siewros!

– Nasz, Siewros!

I krzycząc podskakiwali radośnie. Tymczasem rzucony na

ziemię chłopak, powstał żwawo, porwał w pół wysokiego i chudego Siewrosa, podniósł go ku górze, a gdy ten złożywszy się, ujął trzymającego za bary, ten postawił go dopiero na ziemi, a zarzuciwszy ręce na szyję Siewosa wołał:

– Niech żyje Siewros! nie ma już Fryców, Hansów, a są Siewrosy, Jaśki...

I ściskali się obydwaj, jak gdyby przed chwilą nie było między nimi bójki; inni zaś krzyczeli:

– Hura! niech żyje Jasiek i Siewros, nie ma już Fryca ni Hansa.

– A i ja nie Ferdynand ino Maciek.

– A i ja nie Franc ino Franek! powtarzano dokoła. Wrzawa wzrastała, chłopcy z całą serdecznością ściskali się, a ta serdeczność dziwnie odbijała od niemieckiej mowy.

W tem drzwi się otworzyły i wszedł człek wysoki, barczysty, w ciemnej odzieży o nieprzyjemnem wejrzeniu i z progu głośno zawołał:

– *Still, junge Wölfe!*

Chłopcy, którzy nie słyszeli wśród wrzawy, ani otwierających się drzwi, ani też nie widzieli ukazania się dozorczy, na głos jego odrazu ucichli, a twarz każdego z wesołej zarumienionej i ożywionej bójką i zabawą, zmieniła się nagle, i pobladła, przybierając wyraz jakiś chytry i podstępny.

– Ach, wy, nikczemne, wilcze pokolenie, wężowy rodzie, czego wrzeszczycie! Głodem a powrozem ujarzmić was tylko, a pokonać, ciągnął dalej niemiecką mową.

– Który z was tutaj najwinniejszy?

Cisza zaległa izbę, – wśród której tylko oddech przyśpieszony zmęczeniem słychać było owych dziesięciu chłopiąt, wychowywanych pod okiem stojącego obecnie wśród nich Hexa.

– Kto najpierwszy był do krzyków! wrzasnął Hex powtórnie.

Jeszcze większa zaległa cisza. Powstrzymano nawet oddech, a zda się, że uderzenie dziesięciu serc młodocianych można było policzyć.

– Odpowiadać, – kto pierwszy wszczął bójkę! I... spuścić żylastą dłoń na ramię Siewrosa. Chłopiec nie drgnął nawet, oka nie zmrużył, tylko ze zwykłą sobie zręcznością usunął się z pod żylastej dłoni dozorca.

– Ty! będziesz mi umykał! wrzasnął rozwścieczony dozorca. – Zgniotę cię, ty podłe litewskie szczenię, – zgniotę was wszystkich! a nie miarkując się w gniewie, porwał za gardło najbliższej stojącego. Lecz zamiast krzyku z piersi chłopięcia, wyrwał się krzyk z gardła Hexa, do którego ręki porwany za gardło wszczepił zęby z taką zajadłością, iż zda się chciał odgryźć ją całą. Po chwili chłopiec odjął zęby, nic nie rzekłszy, – splunął tylko i patrzył błyszczącymi oczyma, jak z ręki Hexa krew się połała. Inni oniemieli, lecz znać było, iż trzeba tylko lekkiego podmuchu, a wszyscy, jak ich było dziesięciu, rzucą się na znenawidzonego niemca. Ten syknął z bólu, zaklął straszliwie i wyszedł zaryglowawszy drzwi za sobą.

Chłopcom odechciało się jakoś zabawy, każdy został, gdzie

stał, spoglądając na towarzyszy. – Mijały chwile, nikt nie wchodził, chłopakom sprzykrzyła się cisza. Jeden drugiego popchnął, któryś krzyknął:

– Bawmy się w Hexa.

– Dobrze, odpowiedziano gromadnie; ale kto będzie Hexem?

Nikt się nie znalazł, gwar powstał, rzucono kulkami do góry, lecz Hexem nikt być nie chciał. W końcu głód doskwierać zaczął, żaden jednak nie obwiniął współtowarzyszy.

– Ale to oni nas tu o głodzie trzymać będą! zawołał chłopiec Francem zwany.

– Ba żebyśmy przynajmniej jak Hans krwi Hexa pokosztowali, toby i głodu czuć tak nie było; zawołał inny.

– Słuchajno, już ci Siewros zapowiedział, że tu nie ma Hansa ino Jaško, a jak mi raz jeszcze tak się ozwiesz, to cię to samo co Hexa spotka.

– Oh, jak się to zaprawił! poczęto wołać, śmiejąc się, lecz w tej chwili skrzypnęły drzwi i zamiast Hexa, ukazała się żona jego Kobolda. Drobna i chuderława niewiasta, o małych i biegających oczach, miała silne i wielkie ręce, jak gdyby na postrach chłopców od kogo innego pożyczone.

– O moje dzieciaki, moje wilczki kochane, – mówiła niemczyzną Kobolda, – rozbrykałyście się, jak widzę, trzeba was trochę wziąć do łaźni. Post i łaźnia wrócą was do pokory jak należy i wszelkie krzyki z głowy wybiją.

To mówiąc, otworzyła drzwi w podłodze, a biorąc za kark jednego po drugim, popychała w głąb do podziemia. Chłopcy tak

butni przed chwilą, spokojnie poddawali się żyłastym dłoniom Koboldy, która wszedłszy ostatnia za nimi, drzwi zamknęła za sobą.

W izbie, przed chwila gwarnej, zapanowała najzupełniejsza cisza, tylko tam z po za drzwi zamkniętych dochodził plusk wody, a czasem okrzyk, lub jęk bolesny. Dla dopełnienia bowiem wychowania dzieci, zabranych do niewoli przez Krzyżaków, była łaźnia, w której chłostą uczono je pokory i uległości.

Chociaż izba, w której spotkaliśmy bawiących się chłopców, zwana była szkołą, po okrzykach jednak i całej rozmowie łatwo się domyślić, że chłopcy byli w niewoli. Krzyżacy bowiem wzięwszy litewskie lub mazurskie chłopię, starali się całym wychowaniem zatrzeć w nich pamięć o pochodzeniu. W tym celu w obrębie Malborskiego zamku wzniesiony był obszerny budynek, mieszczący zarazem wychowawców i Hexa z żoną, umyślnie sprowadzonych z głębi Germanii dla opiekowania się, jak ich nazywano, młodemi wilczkami. A i cała też szkoła zwaną była *Wolfshöhle* (wilcze gniazdo).

Grube mury, okna wysokie, wąskie, wgłębione izby sklepione nadawały pozór smutny i ponury, różniący się najzupełniej od szerokich pól, lub szumiących lasów, w których chłopięta spędzili najpierwsze dziecięce lata. Chłopcom kazano przedewszystkiem zapomnieć ojczyściej mowy, uczono niemieckiej, wszystko zaś, co tylko chytróść i przebiegłość wymyślić zdołała, wpajano w umysły i serca młodzieńcze, a przy tych naukach obznajmiano z zasadami wiary Chrystusowej. Na

takich warunkach wiara ta nie mogła przyjąć się i rozrosnąć; jeżeli w którym sercu rozbudziło się uczucie ku nowej wierze, to chyba rozniecił je widok obrazu w kościele, gdzie Chrystus z miłością przygarniał dzieci ku sobie, lub też wielki posąg Matki Zbawiciela stojący w zagłębieniu zamkowego muru a tulący do piersi dzieciątko³. Nie raz chłopię, wbiegłszy na podwórzec zamkowy, wpatrywało się w ów posąg, przypominając sobie chwile, kiedy i jego do piersi tulono... Wtedy dźwięczała mu w uszach pieśń, którą go kiedyś macierz do snu usypiała. A chwila taka psuła długie krzyżackie nauki....

³ *widok obrazu w kościele, gdzie Chrystus z miłością przygarniał dzieci ku sobie, lub też wielki posąg Matki Zbawiciela stojący w zagłębieniu zamkowego muru a tulący do piersi dzieciątko* – płaskorzeźba na drzewie nieudolnego dłuta ze śladem farb, wyobrażająca Chrystusa błogosławiącego dzieci, znajduje się dotąd w kościele po krzyżackim w Malborgu. Posąg Matki Boskiej, olbrzymiej postaci we wnęce zamkowej. Obadwa mają być zabytkami trzynastego wieku. [przypis autorski]

III

W podziemiach tuż obok owej łaźni na słomie leżało dwóch chłopców. Obszerna choć ciemna izba służyć mogła również dobrze za składy jak i więzienie. I rzeczywiście znać też miała ona przeznaczenie podwójne, bo oprócz dwóch chłopców, było tam dużo przewróconych do góry dnem wielkich beczek, lub nagromadzonych klepek drewnianych i obręczy żelaznych z rozsypanych i bezużytecznych statków. Światło wcale niedochodziło, a tylko wzrok przyzwyczajony do ciemności z trudnością mógł rozróżnić otaczające go przedmioty.

– Jak myślisz, na długo nas tu zamknięto? – ozwał się jeden z chłopiąt, przysuwając się do towarzysza.

– Bo ja wiem! a pewnie posiedzimy. Postawili nam dzban z wodą, ba i kęs chleba. Odpowiedział drugi.

– Hm! hm! mruknął towarzysz. A gdybyśmy też tak spróbowali wydostać się raz jeszcze na swobodę?

– Ba, ale jak, czarno jak w kominie, ani nawet szczeliny, przez którąby się wydostać. Jeszcze ty cienki jak piskorz, przecisniesz się wszędy, ale ja!

– Eh, byleby tylko rozpatrzyć się, to się ta obaj przecisniemy, a jak po za murem to i jakoś pójdzie, odparł chłopak zwany piskorzem.

– Aha, po za murem, łatwoć to wyrzec, ale jak się dostać,

a jak nas jeszcze raz złapią, to im się nie wykręcimy, żeśmy chcieli obaczyć, czy pod murem zamkowym gniazd nie ma, rzekły chłopak biadający nad swoją rozrosłą postacią, która mu się przecisnąć przez byle jaką szczelinę nie dozwalała.

– No tak i co, – siedzieć tu w ciemnicy będziemy? lepiej niech nas raz już uśmiercą, aniżeli tak kryją po lochach, zawołał jego towarzysz.

I nastąpiła chwila ciszy.

– Słuchajno Siewros, dawnoś ty tutaj między Krzyżaki? – przerwał milczenie ów grubas.

– A pewnie, że dawno! Ot, byłem chłopię, co się w byle chwastach a między zbożem skryć mogło, a teraz sami przecie mówicie, że jak się wyciągnę tom nie ledwie jak słup w szkole długi.

– To ci chleb krzyżacki jakoś poplagował. A żeś to do Niemców ze szczętem nie przyrósł.

– Ja, do Niemców! zawołał z oburzeniem Siewros. Toś ty jeszcze chyba nie poznał, co to za gady, kiedy się dziwujesz, żeś jeszcze do niemców nie przystał.

– A juści, niepoznałem! Toć już dwa roki minęło na gody, jak oni mnie przyprowadzili.

– To możeś ty z jakich Niemców?

– Coś ty wyrzekł Siewros! ja z Niemców! nie powtarzaj tego, bo się żywy z mojej garści nie wydostaniesz! zawołał znany nam już Jaśko, zacisnąwszy pięść z taką siłą, aż kości zatrzeszczały.

– No, – nie gniewaj się bracie, ja tylko chciałem się upewnić,

czy i ty tak jako ja wrzesz na Krzyżaki.

– Ho, – a może więcej! oni to między nas tam daleko jako świnie w szkodę włożą, – ba gorzej, boć świnia szkodę zrobi w polu, a ludzi żywi, a Krzyżak pole zniszczy, a człeka połknie!

– Eh!? a to oni człeków żywcem zjadają? zapytał niedowierzająco z pewnym strachem Siewros.

– Ba, gorzej jakby zjedli, bo ciągną ot pod swoje zamczysko!

– Ta, prawda, gorzej! jakby raz zjedli, toby mowy dziwnej nie uczyli! mówił Siewros powoli, jakby sobie chciał coś przypomnieć

– A ty dawniej miałeś inną, nie krzyżacką mowę? zapytał Jaśko.

– A jakże, a przecie nasza mowa to jak szum lasów, gdy wiatr powoli iglicami drzew kołysze, a taka, że chociaż już skończył, to ci się zda że jeszcze w uszach dźwięczy: nie, ale ja jej przypomnieć sobie nie mogę.

– Oho, ja jeszcze pamiętam, a wciąż mi się płacze między niemieckie wyrazy, a pieśni w uszach grają, co je na polach a w kościołach śpiewają.

I Jaśko, jakby idąc za własną myślą począł cichym głosem: Po nad Wisłą... po nad wodą... wrogi straszne kroczą... nie dam ciebie, dziecię moje... nie dam cię mój synu!...

– Ba, tak mi to macierz śpiewała, mówił już dalej niemiecką mową Jaśko, a no przyszli zabrali, ba i jam wszystkiego zapomniał!

– U nas nie taką, inszą mową śpiewają, ale ja już swojej nie

baczę! rzekł Siewros i zamyślił się smutnie, a po chwili dodał:

– A no, próżno, tutaj w ciemnicy żyć nie możemy! trzeba się wydostać.

– A trzeba, powtórzył Jasiek. I to mówiąc całą siłą kopnął nogą każdą obok stojącą.

Przegniła klepka rozsypała się pod uderzeniem silnego chłopaka, a jakaś nie miła woń zgnilizny rozeszła się do koła, lecz z nią zarazem i ciąg wiatru doleciał.

– Oh, a toś jeszcze do ciemnicy i zgnilizny napuścił! rzekł Siewros, wstając z ziemi i prostując swoje długie chude nogi. Eh, a to tam ciągnie jakby ode dworu! zawołał nagle.

– A może tam jakie przejście, dodał.

– A może. I Jaśko jeszcze silniej w stojącą przed nimi każdą nogą uderzył.

Wyłom większy się zrobił, a wpadająca wewnątrz klepka chlupnęła najwyraźniej w wodę, ale gdzieś bardzo głęboko.

Woń jeszcze szkaradniejsza napełniła podziemie, lecz teraz najwyraźniej przeciąg już czuć się dawał.

– Cuchnie, bo cuchnie, – rzeki Siewros, – ale tu dochodzi wiatr, to może... W tem usłyszeli odgłos kroków, ale to tak tuż jakby około nich kto przechodził.

Przycichli obaj, i po omacku odsunęli się od owej beczki, siadłszy na jakichś deskach.

Zdawało im się, że ktoś wchodzi, chwilę siedzieli cicho. Stąpanie dochodziło ich uszu, lecz stąpanie było zdala, a chód to był nie jednego człeka, lecz jakby oddalony tętent koni. Chłopcy

spojrzeli na siebie, oczy im w ciemności zabłyśły, mimowoli wstrzymali oddech, ażeby się upewnić czy ich słuch nie myli i milcząc ścisnęli się za ręce. Po chwili stąpanie ucichło, wiatr tylko coraz silniej ciągnął od owej rozbitej beczki. I znów zdala jakiś turkot, czy szum wody doszedł ich uszu.

– Bracie, ta beczka jakiś otwór snać zakrywa! szepnął Siewros.

– Ba, i ja tak myślę! rzekł z pewnym tryumfem Jaśko. I obadwaj rzucili się sobie w objęcia, jak gdyby ten słaby promyk nadziei dawał im już niechybne ocalenie.

– A teraz do roboty! zawołali razem, szukając po omacku owego otworu, z którego ich oddalone głosy dolatywały.

Beczka była tak wielka, iż mogłaby służyć za mieszkanie, chłopcy po ciemku, gdzie mogli wrywali nadgniłe klepki. A gdy jakaś cuchnąca woda sączyła się z jednego otworu, drugim tymczasem dochodził powiew wiatru. Najwidoczniej była to kadź do piwa o dnie podwójnem. W jednej więc połowie zostały resztki odwaru i te stojąc zbyt długo zepsuły się i zatęchły, a sącząc się wydawały ową woń zgnilizny, gdy tymczasem druga połowa kadzi była pustą i ta nakrywała jakiś otwór wgłąb ziemi idący. Chłopcy pracując i odrywając palcami i zębami klepki, oblani od stóp do głów cuchnącą spadającą na nich z wierzchu ciecżą, zrobili taki wyłom, iż obaj się mogli weń zmieścić. Przewiew wiatru i ów szum oddalony coraz widoczniej czuć się dawał, lecz ciemność niepozwalala nic do koła rozeznąć. Po omacku chłopcy kawałem jakiegoś znalezionej kija doszukali

się, iż tam jest otwór, który ogromna kadź w zupełności zakrywała.

– Hej, nie nachylaj się, bo jeszcze wlecisz na łeb; mówił Jaśko, przytrzymując towarzysza.

– Ta i cóż, to tylko z jednej jamy w drugą wleżę, a może z tamtej łatwiej się wydostać – odrzekł Siewros, rzucając jedną ręką na chybił trafił w głąb otworu kawałek cegły czy kamienia, a drugą przytrzymując się zrębu kadzi. Po chwili odgłos upadającego kamienia się odezwał, a tak jakby się staczał po jakiej nierównej pochyłości, aż wreszcie plusk dał się słyszeć.

– Oh, oh! słyszysz! – zawołał Siewros, chwytając towarzysza za rękę.

– Słyszę, otwór jest, lecz gdzie prowadzi, jak się weń dostać? mówił rozważny Jaśko. Mimo to jednak zaczął drągiem szukać i po omacku mierzyć jak daleko od zrębu beczki do otworu. Tak szukając, doszli, iż był po środku otwór niewielki, który miasto drzwi przykryto wielką kadzią. Ziemi jednak ubitej między zrębem a otworem było tak dużo, że obaj więźnie stanąć na niej mogli bezpiecznie.

– Utrzymasz ty mnie i wyciągniesz, gdy nie będę mógł sięgnąć uogami gruntu, zapytał Siewros.

– Ba, i trzechbym takich wyciągnął, odrzekł Jaśko, a nie utrzymam, to i sam za tobą wskoczę. Jak ginąć, to już lepiej odrazu, niż gnić w tej krzyżackiej jamie!

– Ba, ale na czym się spuszczać? skąd rzemienia albo sznura? zamyślił się Siewros.

– Czekaj, zawołał Jaśko; a ściągnąwszy z siebie zwierzchnie odzienie, zaczął je drzeć zębami na pasy i wkrótce obaj towarzysze zostali tylko w płóciennej spodniej odzieży, a za to z podartych kaftanów ukrećili dość długie sznury. Wiatr zimny ciągnący od wnętrza otworu coraz silniej dochodził, lecz zmęczeni towarzysze nie czuli tego: owszem, pot spływał im z czoła. Wkrótce Siewros trzymając sznur, spuszczał się w otwór, drugi koniec owego sznura trzymał Jaśko. Naraz sznur stał się lekkim, Jaśko uczuł, iż źle skręcony powróz zerwał się i został mu w rękach, jednocześnie usłyszał staczanie się nieszczęśliwego Siewrosa;

– Więc i ja z nim ginąć muszę, zawołał Jaśko. Boże, uratuj nas obu!

I nie namyślając się długo, Jaśko, chcąc lepiej wgłąb skoczyć, uchwycił za zwieszające się na wpół odłamane wewnętrzne dno beczki. Pociągnięte ciężarem chłopca przegniłe drzewo, zerwało się z nim razem, głuchy odgłos rozległ się po sklepionych podziemiach, a nad otworem tylko co przez więźniów odkrytym, z porozbijanych klepek wielkiej kadzi, utworzył się stos ogromny drzewa, nad którym tu i tam sterczały w półkole żelazne, rdzą przegryzione obręcze.

IV

W jednej z komnat malborskiego zamku, we wgłębieniu okna, dwóch ludzi rozmawiało po cichu. W jednym, mimo iż okrywał go tylko kaftan skórzany, krótki, poznać było łatwo rycerza, drugim był Hex, znany nam już przełożony Wolfshöhle.

– Muszą być! rozumiesz? – rzekł rycerz, kładąc silną dłoń na ramieniu Hexa.

– Rycerzu von Altenburg, – odparł Hex uginając się pod żelazną dłońią, spoczywającą na jego ramieniu, wszystko uczynię, lecz gdzie ich szukać! Całe podziemie przetrząśnięto, nad otworem kupa klepek i desek, szmat strzepy, snać te wściekle psy w kanał skoczyły!

– Jakaś mógł ich zamykać w owym podziemiu, gdy tylko więzienie, nie śmierć im była przeznaczona! – syknął przez zęby Dietrich z Altenburga. – Ja ich mieć muszę, muszę! czy znasz to słowo?

– Znam, – powtórzył Hex ponuro – lecz miejcie miłosierdzie, innych wam przysposobię, sprawniejsi będą, aniżeli ten cienki Fryc i gruby Hans.

– Ja tamtych chcę, tamtych, a nie innych, właśnie tylko szlachetne charaktery dadzą się obietnicą ułudzić, bo same do obłudy nie zdolne.

– Panie, to są psy wściekłe, co kąsają człowieka. – I Hex podniósł dłoń ze świeżą, jeszcze niezagojoną raną.

Dietrich brwi zmarszczył.

– Pokąsały ciebie, Hexa, a nie człowieka – a kasać będą każdego, kogo wskażę jako nieprzyjaciela ich plemienia.

– Idź, szukaj! – do jutra mieć muszę obu.

Hex ociągał się jeszcze, lecz Dietrich zawołał przyciśnionym, lecz stanowczym głosem.

– Precz!!

Echo głucho powtórzyło ten wyraz, który zda się towarzyszył przygnębionemu Hexowi przez całą długość wielkiej komnaty, a w przedsionku jeszcze się odbiło o sklepienie muru. Dopiero gdy wyszedł z zamku, odetchnął swobodniej, a potem zacisnąwszy pięść i zgrzytnąwszy zębami mruknął jakieś przekleństwo, a krocząc powoli do domostwa, potracił wierną swoją Koboldę, która nie wiedzieć po co i dla czego przemykała się pod murem. A szła tak ukradkiem i milczkiem, jakby potajemnie kogo podsłuchać lub podpatrzeć chciała.

– Gdzie się włóczysz! – syknął Hex, zadowolony, że miał na kogo pierwszy gniew spędzić.

– Cicho! ty niedołego! – odmruknęła Kobolda. I położywszy palec na ustach, wskazała ręką, aby nie pytając, szedł do Wolfshöhle, sama zaś wcisnęła się jeszcze głębiej we wnętrze muru, łowiąc uchem rozmowę dwu stojących opodal ludzi.

– Mówią, że zniknęli zupełnie – rzekł szeptem młodzieniec smagły, ubrany w ciemną krótką odzież, na której miał przewieszoną gęśl przez ramię.

– Przecież muszą być jakieś ślady po zaginionych? – spytał

starszy w ubraniu duchownym.

– Ach ojcie Germanie, kogo raz wepchną w podziemia, stamtąd go nikt nie wyciągnie.

– Tak, lecz opieka Najwyższego sięga tam, gdzie **nikt** dosięgnąć nie zdoła, – odpowiedział Ojciec German z powagą.

– Lecz kogo Krzyżak chce zgubić, nic go nie ochroni...

– Cicho – odrzekł gromiąc duchowny. – Nie bluźnij Bernardzie; niezbadane są wyroki Stwórcy. Może te pacholeta miały zdradzić swoich, może miały być narzędziem złego, zbrodni, lepiej, że w młodości zginęły... Czy śladów żadnych nie odkryto? – zapytał po chwili.

– Mówią, że z owego podziemia prowadzi jaki otwór w głębinę, że tam znaleziono potargane szmaty odzienia, strzępy włosów a nawet ślady krwi, zresztą nic, nic! Ach, ojcie, ja się boję, czy ten mściwy Hex nie uśmiercił ich – mówił Bernard ze drżeniem w głosie.

– Dzieciak jesteś – odparł ojciec German ze smutnym uśmiechem. – Hex raz powierzonych, chłopców strzeże jako oka swego, jako strzegł ciebie i wielu braci naszych, inna w tem jakowaś przyczyna. Gdy cię wyślą dziś za mury, staraj się dowiedzieć, czy gdzie jakich śladów niema. Możeby ukrytym kęs jadła lub otuchę zanieść. Smutna to sprawa, dziecię moje, a kiedy nas Bóg przeznaczył, by żyć między wrogami, starajmyż się przynajmniej braci cierpiącej w pomoc przychodzić.

– Ojcie, przykrzy się życie takie. Słuchać i słuchać, jak coraz to więcej pacholąt naszych przybywa! ach, jabym wszystkich

rad jednej chwili wypuścić z tych murów, roztargałbym je, rzuciłbym się...

– Bernardzie, uspokój się; synu mój. Ciało twoje wątłe a słabe, przed oczami noc wieczna, co możesz uczynić, biedne chłopię moje? Tu, razem we dwóch, możemy te pacholeta wprowadzać na drogę wiary, a uczyć ich, by nie zapomnieli o swoich. Ty, chłopcze, z innego, a ja z innego plemienia, ongi może plemiona nasze wiodły walkę ze sobą, lecz tutaj połączyła nas wspólna niedola i jedna myśl, że braciom naszym służyć będziemy.

– Ach, ojcze, gdyby raz jeszcze przejrzeć, gdyby przedrzeć tę ciemność, co wzrok mój zakrywa, i ujrzeć lasy nasze tam, tam daleko, jako Tubingas ciemny służyć świętemu dębowi.

– Cicho Bernardzie, przyjąłeś wiarę Świętą, a wracasz myślą do ofiar pogańskich.

– Ojcze, ten Bóg, któregoście czcić nas nauczyli, jest wielki, lecz on przecież nie każe zapomnieć tych, cośmy ukochali?

– Nie, owszem, Najwyższy każe ich miłować, a miłości największej dasz dowody, gdy oddalony od ziemi swojej nieść będziesz pomoc tym, co jak ty wyrwani w latach dziecięcych, zapomnieliby o swoich, gdybyś im pieśnią ich nie przypominał. Wasz Tubingas, składając objaty poświęconym dębom, wielbi Najwyższego, oddając mu cześć, podziwiając wielkość przyrody; jak on w ojczyźnie, tak ty służ braciom w niewoli; a pieśń niechaj w nich miłość ku tej ziemi rozbudza. Idź ślepcze młody, mów im o ziemi twojej, śpiewaj niezrozumiałą dla Niemców mową; Niemiec jej nie rozumie, dźwięk mu się podoba, a częstokroć

w piersi zamarłej twego rodaka rozbudziś uczucie do rodzinnej ziemi.

– Tak, ślepcom a śpiewakom wszędzie dojść można – rzekł, westchnąwszy, Bernard – może też i **ich** odszukam.

– Idź. – I duchowny zakreślił znak krzyża świętego nad głową młodzieńca, spuścił potem rękę na jego ramię i dodał: – Idź, ja pospieszę do szkoły, by chłopiętom zanieść słowa wiary.

I ojciec German powoli kroczył do Wolfshöhle.

Nie wielki, naprzód pochylony, zdawał się być niemłodym, a jednak gdy podniósł wzrok pogodny, widziałeś twarz nie latami, lecz cierpieniem znękaną.

Oddawna, oblokłszy suknię duchowną, u Krzyżaków przebywał, w zasadach wiary Świętej był biegły, a życiem wzbudzał poszanowanie we wszystkich. Niemiecką jako Krzyżak znał mowę, lecz umiał i inną, bo gdy z wyprawy wracano, prowadząc za sobą młode pacholeta, rozmawiał z nimi odrazu, a pacholeta garnęły się do niego, opowiadając mazurską mową o ojcu i macierzy. Pacholąt jednak z tamtej strony mniej do Wolfshöhle sprowadzano, więcej daleko było takich, co Perkuna a dęby czcili, a wiary Świętej nie znali, tych mowę Ojciec German lepiej jeszcze rozumiał, na jej dźwięk oczy mu błyszczały, chłopięta wypytywał, ba i w płaczu utulił.

Skąd był? a któż o to pytał. Krzyżacy go szanowali, czasem do wielkiego Mistrza był wołany. Dietrich von Altenburg, zastępujący Mistrza, często z nim rozprawy miewał. Snać był im potrzebny, bo ile razy młodzieniec jaki z przywiezionych

z wojny, począł się buntować, słowa Ojca Germana zawsze go uspokoiły. Pod jego też wejrzeniem najbardziej rozgniewany Krzyżak przychodził do siebie, a psy szczekające i rzucające się zajadle na przechodniów, na głos jego milkły i łasząc się, przychodziły do jego kolan. Jedna tylko Kobolda, choć nisko zawsze przed Ojcem Germanem schylała głowę, w duszy niecierpiała go, gdyż nie pozwalając złośliwej niewieście źle się obchodzić z pacholętami, powierzonymi jej pieczy, nieraz surowo ją gromił.

To też na każdym kroku chciała mu szkodzić, a liżąc się i przymilając, śledziła go wszędy.

Zaledwie więc Ojciec German poszedł do Wolfshöhle, Kobolda wysunęła się ze swojej kryjówki. Zacisnęła pięść swą ogromną, syknęła coś przez zęby, a stanąwszy przy wejściu do zamku, postanowiła czekać wyjścia rycerza von Altenburg. I niedługo czekała, wkrótce Krzyżak wyszedł, poprawiając na sobie opończę, którą zwykle był odziany, gdy pozostawał wśród murów. Stał we drzwiach, mierzył wzrokiem z oddali owo Wolfshöhle, najdłużej zaś zatrzymał się na maleńkiem okratowanym okienku w sklepieniu okrągłym nad ziemią, a prowadzącym od głównego budynku do muru, okalającego podwórzec zamkowy.

– Ha, bydlę! – syknął i targnąwszy niecierpiwie pas, otaczający jego postać okazałą, chciał iść dalej, gdy Kobolda zabiegła mu drogę.

– Rycerzu von Altenburg, szlachetny panie!

– Precz! – krzyknął rycerz, zastawiając się ręką, jak gdyby chciał złe widmo z przed siebie odpędzić.

Lecz Kobolda nie łatwo się zrażała. Pozostała na chwilę za nim, a potem idąc cichutko, skradając się jak kot, znowu poczęła:

– Wiem już, kto wszystkiemu winien.

– Ty i twój mąż, nieczne potwory! – krzyknął von Altenburg, wznosząc swą dłoń potężną, a nie oglądając się na idącą tuż obok niego, dodał:

– Precz mi z oczu!

Kobolda pozostała na miejscu; nie dała jednak za wygraną. Cichutko podreptała do Wolfshöhle, gdzie wsunąwszy się głównym wejściem, wkrótce ukazała się bocznymi drzwiami na podwórzu, a gdy von Altenburg opatrywał uważnie sklepienie i okienko, ona podkraǳszy się kocim swoim chodem, szepnęła:

– Ojciec German, i ślepiec Bernard byli z nimi w zмовie; German polecił ślepcowi, by ich szukał po za murem.

Dietrich drgnął pomimowoli, nie zdawał się jednak zważać na szept Koboldy, która jak cicho podeszła, ciszej jeszcze usunęła się, a na jej ohydnej twarzy znać było rozradowanie i uśmiej piekielny. W tejże samej chwili z Wolfshöhle wyszedł Ojciec German, który spojrział na nią łagodnym wzrokiem, zatrzymując czas jakiś pogodnie swe oczy na jej rozradowanej twarzy. Chytra niewiasta nie mogła snąć wytrzymać tego spojrzenia, gdyż schyliwszy skronie, przycisnęła się do muru, jakby przez uszanowanie dla przechodzącego. German spojrzawszy raz jeszcze na nią, przysunął się do Dietricha i rzekł:

– Badałem innych, nic nie wiedzą, lecz wysłałem Bernarda po za mury, ten choć ślepiec, często lepiej dojrzy, aniżeli stu patrzących. Daleko ujść nie mogli, gdy ich znajdzie, zatrzyma za bramą, w ukryciu opodal od zamku, a stamtąd ja ich sprowadzę.

– Czy wam można ufać? – zapytał Dietrich przytłumionym głosem, wpatrując się w duchownego.

– Czym was kiedy zdradził? – odparł tenże, zatrzymując znów wzrok na Dietrichu, który tak samo jak Kobolda nie wytrzymał tego spojrzenia.

– Po raz ostatni wam ufam – rzekł, kładąc rękę na ramieniu Germana – ale gdybym się zawiódł, biada wam, biada tym wilczętom. I to mówiąc, wskazał ręką na Wolfshöhle.

– Bezpotrzebne pogróżki wasze, krew sobie ino psujecie – odparł poważnie German – a krew wasza powinna być spokojna, boć nową szykujecie wyprawę, nie warto jej na takie małe sprawy zażywać.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.